

**W związku z napaścią Rosji na Ukrainę mamy do czynienia z niekwestionowanym kryzysem energetycznym. Najpierw z medialnych nagłówków i telewizyjnych czołówek nie schodziła kwestia dostępności paliw kopalnych - w Polsce przede wszystkim węgla, potrzebnego do produkcji ciepła systemowego i indywidualnego. Potem media rozgrzała kwestia dofinansowania jego zakupów.**

Obecnie, jednym z głównych tematów jest niewidziany od lat skok cen, nie tylko nośników energii, ale i samej energii. Ten przecież napędza i tak rozszalałą już inflację. Według ostatniego sondażu CBOS, jej skutki bardzo silnie odczuwa już 86 proc. Polaków.

W tych okolicznościach, również w kręgach decyzyjnych, doszło do przewartościowań. Pojawiło się zrozumienie, że energia to w XXI wieku dużo więcej niż zwykły towar - to realna wartość. Warunek funkcjonowania nie tylko gospodarki, ale państwa w ogóle.

I pojawiło się zrozumienie, że transformacji polskiej energetyki - w dużej mierze odziedziczonej przez nas po poprzednim ustroju - nie da się już dłużej odwlekać. Że nie wystarczy postawić farmy wiatrowej tu, i zaopatrzyć dachów w panele PV tam, by zasnąć w poczuciu, że czegoś się niskim kosztem dokonało.

Pojawiła się świadomość, że potrzebna jest głęboka zmiana i pojawił się bodziec dużo silniejszy niż unijne nagabywanie o dekarbonizację. Pokrętne losy unijnej taksonomii, do której ostatecznie trafiły i gaz ziemny, i atom, oraz kształt przyjętego przez Brukselę Nowego Zielonego Ładu nie do końca zresztą brały pod uwagę uwarunkowania państw takich jak Polska.

Potrzeby dokonania dekarbonizacji w energetyce nikt już nawet w polskim dyskursie publicznym nie kwestionuje zbyt głośno i otwarcie. Dzieje się tak wcale nie dlatego, że nagle wszystkim spodobała się idea zeroemisyjności - nie. Dzieje się tak dlatego, że paliwa kopalne okazały się być niezwykle kosztowne: finansowo, politycznie, społecznie i gospodarczo. Aż do teraz było zbyt łatwo udawać, że tych ukrytych i związanych z zależnością od węgla i gazu ziemnego kosztów po prostu nie ma.

Na stole jako jedyne stabilne, niezależne od pogody i zeroemisyjne źródło energii pozostała energetyka jądrowa - doskonałe narzędzie nie tylko produkcji prądu i ciepła, ale i świetny przyczynik do zawiązywania i wzmacniania geopolitycznych oraz gospodarczych sojuszy. Sojuszy obliczonych na dekady, nawet nie na lata. I również wojujący ekolodzy zdają się dawać - jeśli nie zielone światło - to przynajmniej ciche przyzwolenie.

Tak oto niemożliwe stało się możliwe.

Polskie przymiarki do wdrożenia energetyki jądrowej liczą już pół wieku. PRL budował – powoli, ale rzetelnie i konsekwentnie – EJ Żarnowiec. Ukończony w 40 proc. reaktor nigdy jednak nie zaczął działać, bo w chwilę po transformacji ustrojowej, w 1991 roku Tadeusz Syryjczyk, minister przemysłu w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, podpisał się pod decyzją, aby – co prawda – dotrzymać zobowiązań kontraktowych i zapłacić za niego w całości w dolarach i rublach transferowych, ale też by jego ukończenia zaniechać. Wykształcone na użytek budowy i eksploatacji EJ Żarnowiec polskie kadry rozjechały się po świecie. Tylko niewielka grupa została pracować w polskich ośrodkach badawczych, Państwowej Agencji Atomistyki i w polskim przemyśle. Część z tych kadr zresztą wróciła, gdy polski projekt jądrowy zyskiwał drugie życie i trwały przygotowania do publikacji pierwszej wersji Programu Polskiej Energetyki Jądrowej (lata 2009-2014). Od tamtej pory zdążyła już jednak przejść na zasłużoną emeryturę.

W 2022 roku okazuje się, że decyzje, których przez lata nie można się było doprosić; że zobowiązania, których rządzący od lat unikali – daje się podjąć. Co więcej, daje się je podjąć nie pokątnie, ze wstydem kryjąc się w zaciszach ministerialnych gabinetów, a z dumą, fanfarą, podniesionym czołem i w pełnym świetle kamer.

Oto premier Morawiecki ogłasza amerykański koncern Westinghouse dostawcą technologii dla elektrowni jądrowej, która ma stanąć w gminie Choczewo. Oto minister Sasin podbija stawkę nawiązując współpracę z południowokoreańskim koncernem, który ma budować kolejny obiekt jądrowy w Pątnowie. Minister Moskwa głośno mówi o wskazaniu potencjalnej lokalizacji dla trzeciej atomówki i poszukiwaniu partnera dla jej realizacji. To, co najpierw zdawało się być chaotycznymi poczynaniami samotnych, politycznych szeryfów zaczyna jawić się jako polski atomowy Blitzkrieg.

To cieszy – zwłaszcza ludzi jak ja, którzy mówili, że to słuszne i potrzebne, na długo zanim zapanowała moda na atom. Wśród uważnych obserwatorów, polski Blitzkrieg atomowy budzi jednak pewne wątpliwości – czy raczej zmusza do zastanowienia się nad kilkoma kluczowymi kwestiami.

Pierwsza z nich wiąże się bezpośrednio z pytaniem, które padło w moją stronę na konferencji “Atomowa dyplomacja”. Dotyczyło związku pomiędzy funkcjonowaniem elektrowni jądrowych w danym kraju a jego potencjałem obronnym. Odpowiedź na to pytanie jest bardzo prosta: funkcjonowanie elektrowni jądrowych w danym kraju świadczy o tym, że ten kraj ma wykształconą, wysoką kulturę organizacyjną, techniczną, technologiczną i społeczną. Posiada zaplecze przemysłowe, zasoby wiedzy, zdolność do szczegółowego planowania i konsekwentnej realizacji dużych projektów infrastrukturalnych obliczonych na długie lata. Potrafi formułować i stosować procedury, dbać o bezpieczeństwo własne i

własnych mieszkańców. To kraj odpowiedzialny, który kluczowych obszarów życia gospodarczo-społecznego nie zostawia przypadkowi i aktualnie obowiązującym trendom. To o tym świadczy funkcjonowanie elektrowni jądrowych w danym kraju – również w kontekście potencjału obronnego. Projekt jądrowy to dalekosiężny cel nie zorientowany na doraźną korzyść polityczną, czy finansową. I jest to cel, który warto osiągnąć, a dzisiejsza sytuacja jest tego najlepszą z możliwych ilustracji.

Polityka energetyczna Polski do 2040 roku, kluczowy dokument o znaczeniu strategicznym dla państwa, była ostatnio aktualizowana w 2021 roku. Niedawno. Powiązany z nią bezpośrednio Program Polskiej Energetyki Jądrowej – w 2020 r. Wygląda jednak na to, że zapisy tych rzetelnie opracowanych i popartych analizami dokumentów w świetle ostatnich deklaracji politycznych zdezaktualizowały się w zaledwie kilka dni. Wpisany w nie 20-proc. udział energetyki jądrowej w polskim miksie energetycznym wzrósł w ustach polityków do 50 proc. i nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie mowa o technologii, która w Polsce nie funkcjonuje jeszcze wcale. Tak duży skok to bowiem coś więcej niż różnica ilościowa – to też różnica jakościowa.

Pierwsza elektrownia jądrowa w Polsce nie ruszy, dopóki nie będziemy dysponować odpowiednią infrastrukturą do unieszkodliwiania i składowania nisko- i średnioaktywnych odpadów, które będą z niej pochodzić. Elektrownia jądrowa to przecież nie tylko wypalone paliwo. To można akurat bezpiecznie przechowywać na jej terenie, dopóki elektrownia działa. Elektrownia jądrowa to też ogromny wolumen odpadów dużo mniej medialnych i widowiskowych, ale które nadal należy przetworzyć i stale odizolować od środowiska.

Mamy w tym zakresie w Polsce doskonałe doświadczenie i spore osiągnięcia. Wypalone w reaktorze badawczo-produkcyjnym paliwo MARIA zostało wywiezione z Polski do kraju producenta, a innymi odpadami promieniotwórczymi, również tymi z oddziałów medycyny nuklearnej w polskich szpitalach i z przemysłu, gospodaruje państwowy monopolista – Zakład Unieszkodliwiania Odpadów Promieniotwórczych. ZUOP zarządza też działającym od ponad 6 dekad Krajowym Składowiskiem Odpadów Promieniotwórczych w Różanie nad Narwią, które jednak nie będzie wystarczające do obsługi programu jądrowego o tak ambitnych jak deklarują politycy rozmiarach.

Nie jest zresztą wystarczające również na potrzeby realizacji Programu Polskiej Energetyki Jądrowej w jego obecnej formie i dlatego, według Krajowego Planu Gospodarowania Odpadami Promieniotwórczymi, w tym roku powinna pojawić się informacja o lokalizacji dla nowego takiego obiektu. Tylko, czy w trakcie jej poszukiwania wzięto pod uwagę, że wolumen odpadów będzie ponad dwukrotnie większy niż zakładały dokumenty strategiczne? Czy powstał plan sfinansowania takiej inwestycji? Czy, jak do tej pory zakładano, ten ciężar

weźmie na siebie państwo? A skoro tak to dlaczego? W innych gałęziach przemysłu przechodzimy na dużo zdrowszą logikę odpowiedzialności wytwórcy odpadów za ich zagospodarowanie – czy tutaj postanawiamy zrobić wyjątek? Czym chcemy go uzasadnić?

A ludzie? Mieszkańców Pomorza od lat spokojnie i konsekwentnie oswaja się z możliwością ulokowania tam pierwszej elektrowni jądrowej w kraju. Budowane tam przez lata poparcie społeczne nie wzięło się znikąd, jest efektem konsekwentnej pracy i budowanych przez lata relacji z lokalnymi władzami każdego szczebla i całym szeregiem organizacji społeczeństwa obywatelskiego. Czy mieszkańcy Wielkopolski spojrzą na plan budowy elektrowni jądrowej w Pątnowie równie przychylnym okiem? Czy dysponują dostępem do informacji, która pozwoli im rozwiązać wszystkie wątpliwości i jasno zobaczyć korzyści?

A wiedza? Kadry? W książce „Atom dla klimatu” pisałam, że świat polskiej atomistyki to świat, w którym nie doszło do następstwa pokoleń – nie dano mu na takie następstwo szansy. To świat bardzo światłych ludzi o ogromnej wiedzy i ogromnym doświadczeniu – stosownie do wieku – i jednocześnie świat ludzi bardzo młodych, pełnych entuzjazmu i zaangażowania, ale z niewielkim doświadczeniem praktycznym lub w ogóle bez niego. Bo i skąd je wziąć, jeśli nie jest się członkiem tej garstki naukowców, którzy pracują w badawczym reaktorze MARIA w Otwocku? Jeśli żaden obiekt danego typu jeszcze w kraju nie działa? Skąd wziąć inspektorów dozoru jądrowego? Kiedy i jak wykształcić kadry dla Państwowej Agencji Atomistyki, odpowiedzialne za kontrolę całego procesu budowy, eksploatacji i likwidacji elektrowni jądrowej?

W okresie, kiedy ruszało drugie polskie podejście do realizacji elektrowni jądrowej i powstawała pierwsza wersja PPEJ, uczelnie techniczne w różnych miastach otwierały kierunek „energetyka jądrowa” a chętnych nie brakowało. Ale fala entuzjazmu opadła, kiedy o projekcie zrobiło się cicho i historie o tym, że dany kierunek nie ruszył, bo na ostatnią edycję zgłosił się... jeden chętny – są w środowisku znane powszechnie.

I nawet jeśli – jak prawdziwy dżentelmen – pominię w tym tekście kwestię finansowania ambitnych jądrowych przedsięwzięć, to wydaje mi się, że już dość jasno wybrzmiała w nim ta najważniejsza według mnie rzecz: budowanie elektrowni jądrowej to nie sprint, to maraton.

Żeby dobiec do mety i nie zrobić sobie po drodze krzywdy, trzeba rzetelnie wszystko przemyśleć i dobrze się przygotować. Trzeba odpowiednio rozłożyć wysiłek i zostawić margines bezpieczeństwa na to, co może wydarzyć się po drodze, a czego przewidzieć się nie da. Entuzjazm jest potrzebny, by się dużego przedsięwzięcia podjąć, ale aby je z sukcesem zrealizować, potrzebne jest coś więcej: dobre planowanie, konsekwencja w

działaniu i determinacja – rzeczy, które pchną nas naprzód, kiedy pojawią się trudności.

Z polskiej zapalczywości śmiał się już Mickiewicz. „Szabel nam nie zabraknie, szlachta na koń wsiedzie, Ja z synowcem na czele, i – jakoś to będzie!” – pisał w „Panu Tadeuszu”. Ale szabel zabrakło. A tym razem nie chodzi wcale o to, aby było „jakoś”. Tym razem musi być dobrze – albo nie będzie wcale. I bardzo wiele od tego, czy będzie, zależy.

Źródło: [Urszula Kuczyńska: „Jakoś to będzie?” Z atomem w Polsce nie może być „jakoś” – rp.pl](http://urszula.kuczyńska.pl)